

TEMATY
TYGODNIA

- 10 Adam Szostkiewicz
Synod się przestraszył
- 14 Malwina Dziedzic
**Katastrofa smoleńska
– zamach powraca**

POLITYKA

- 16 Anna Dąbrowska
**Partia Korwina:
odchodzi czy wschodzi?**

SPOŁECZEŃSTWO

- 20 Marcin Kołodziejczyk
Moda na żydowskość
- 24 Violetta Krasnowska
**SKOK Wołomin
– przymusowe pożyczki**
- 26 Rozmowa z **Krystianem
Zięciem**, byłym pilotem
F-16, o tym, ile kosztuje nas
lotnictwo
- 30 Barbara Pietkiewicz
**Czy bać się
szkół specjalnych**

ROZMOWA
ŻAKOWSKIEGO

- 34 Benjamin Barber
o tym, kto powinien dziś
rządzić światem

RYNEK

- 41 Adam Grzeszak
**Internetowy handel
nabiera rozpędu**
- 44 Urszula Szyperka
**Specjaliści
od upiększania
mieszkań**

ŚWIAT

- 46 Jędrzej Winiecki
**Międzynarodówka
brudnych rąk**
- 50 Katarzyna
Kwiatkowska-Moskalewicz
**UKRAINA Tetiana
Czornowół – symbol
ukraińskiego zrywu**
- 53 Łukasz Wójcik
**BLISKI WSCHÓD
Pierwsza wojna
genderowa**
- 56 Marek Ostrowski
**Światowy ład Henry'ego
Kissingera**

HISTORIA

- 61 Andrzej Krawczyk
**Jak Niemcy w 1954 r.
wracali do Europy**



10 Kłótnie o gejów i rozwodników



16 Król i wicekról



53 Wojenna emancypacja



108 NA WŁASNE OCZY Muzeum życia

- 64 Bartosz Ryś
**Ratowanie
Jana Karskiego**

NAUKA

- 66 Marcin Ryszkiwicz
**Zmutowani
Tybetańczycy**
- 70 Edwin Bendyk
**DEBATA EKSPERTÓW
Jak zarazić pasją
do matematyki**
- 72 Paweł Walewski
**Wirusów dużo więcej
niż szczepionek**

KULTURA

- 78 Piotr Sarzyński **Portrety
Olgi Boznańskiej**
- 82 Mirosław Pęczak
**Co się stało
z kulturą studencką**
- 84 Justyna Sobolewska
Nowa księga Tokarczuk
- 86 KAWIARNIA LITERACKA
Sylvia Chutnik
- 87 Bartek Chaciński
**Muzyczne legendy
eksperymentują**
- 90 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 92 Ryszarda Socha
Pechowe gdańskie lwy
- 96 Marcin Piątek
**Sebastian Mila
– skarb odzyskany**
- 98 Piotr Adamczewski
**ZA STOŁEM
Dzieje widelca**

NAGRODY
NAUKOWE
POLITYKI

- 100 Ewa Wilk
Laury za śmiałość

NA WŁASNE
OCZY

- 108 Marian Turski
**opowiada o Muzeum
Historii Żydów Polskich**

STAŁE RUBRYKI

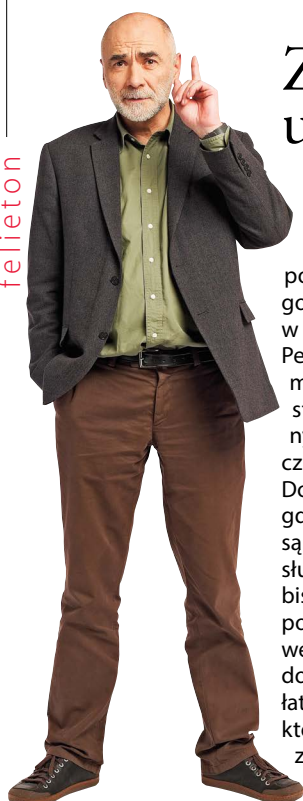
- 4 Mleczek i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 74 Afisz • 102 Passent
- 104 Stomma • 105 Tym
- 106 Fusy, plusy i minusy
- 107 Do i od redakcji
- 114 Polityka i obyczaje



www.mleczko.pl

sławomir mizerski z życia sfer

felieton



Zaraza u bram

Europa boi się eboli, tymczasem w jej cieniu szerzy się jeszcze gorsza zaraza. Chodzi o rosnącą podczas synodu w Watykanie gorączkę wokół osób żyjących w związkach pozamałżeńskich. Pewien węgierski kardynał wspominał nawet o pozytywnych stronach konkubinatów, powtórnym związkach rozwodników czy związków gejów i lesbijek. Doszukiwanie się pozytywów tam, gdzie – nawet jeśli jakieś pozytyw są – nie należy się ich doszukiwać, słusznie zaniepokoiło naszego arcybiskupa Gądeckiego. Jego zdaniem pozytywów można się doszukać we wszystkim, tylko po co? Zajęci doszukiwaniem się pozytywów łatwo przeoczymy zagrożenia, których piętnowanie jest głównym zadaniem Kościoła, w każdym razie polskiego.

Dlatego Gądeckiemu trudno zgodzić się z mocno dyskusyjną opinią Węgra, że „Ewangelię rodziny trzeba głosić nie po to, by potępiać”. Arcybiskup nie bardzo rozumie: jak to nie po to? Jak nie po to, to po co? Jaki sens ma głoszenie kazań niczego niepotępiających i niepiętnujących; kazań, które potwierdzają moralne osłabienie Kościoła? Zupełnie nie do przyjęcia dla naszego hierarchy są słowa Węgra o potrzebie uwzględniania w nauce Kościoła społeczno-kulturowych zmian, które zaszły w świecie. W końcu jeśli świat się zmienia, to jego problem. I niech świat da spokój i nie każe tych zmian rozumieć polskiemu Kościołowi, który od lat daje głębokie i niepodważalne świadectwo tego, że rozumienie czegokolwiek nie jest jego mocną stroną.

Polscy biskupi obawiają się, że zaprezentowane na synodzie zaraźliwe nowinki mogą się z Watykanu przedostać do Polski. A niebezpieczeństwo jest, niestety,

coraz bliżej granic naszych diecezji, o czym świadczy szokująca wypowiedź arcybiskupa Wiednia. W wywiadzie dla jednej z włoskich gazet hierarcha ten przyznał otwarcie: „Poznałem dwóch mężczyzn, którzy byli przykładną parą. To cudowni ludzie”.

Powiedzmy sobie szczerze, wyznanie to nie wystawia temu arcybiskupowi dobrego świadectwa. Oczywiście tego rodzaju znajomości to jego prywatna sprawa i synodu nie powinno to interesować. Ale biorąc pod uwagę niewielką odległość, jaka dzieli Wiedeń od granicy w Cieszynie, nie możemy mieć żadnej pewności, że niedługo takiej pary nie pozna któryś z naszych biskupów. Jedyna nadzieja w tym, że służby kościelne zdążą tego biskupa odizolować, wyegzorcyzmować i ekskomunikować, zanim ten pójdzie w ślady Austriaka i z dobrą nowiną pobiegnie do mediów, żeby wszystkich zarażać.



vistula.pl

V I S T U L A

the men's world

[Kup książkę](#)



© AP/PEST NEWS

Katalońska huśtawka

„Jesteśmy gotowi”

A jednak nie będzie planowanego na 9 listopada referendum w sprawie niepodległości Katalonii. To wspaniała wiadomość, oznajmił premier Hiszpanii Mariano Rajoy. Bywają wspaniałe wiadomości, które zachowują aktualność przez kilka godzin, ripostował szef autonomicznego regionu Katalonii Artur Mas. I podtrzymał zamiar przeprowadzenia „konsultacji” obywatelskiej w dniu, kiedy miało być referendum. Będą urny i karty do głosowania, ale wynik nie będzie miał żadnych wiążących skutków prawnych. Pomysł referendum został przez Madryt zaskarżony do trybunału konstytucyjnego, a ten zwleka z orzeczeniem, blokując tym samym legalność samego referendum. Mas nie chciał prowokować pogłębiania kryzysu politycznego na tle katalońskich aspiracji niepodległościowych i odwołując referendum, zachował się prawowładnie. To mu nie pomogło na politycznej scenie katalońskiej, gdzie twarda odmowa dialogu ze strony Madrytu wywołuje oburzenie i wzmacnia nastroje secesjonistyczne. Społeczeństwo jest podzielone mniej więcej po równo i całkiem możliwe, że Katalonia zagłosowałaby w ewentualnym referendum na nie, analogicznie do Szkotów. Zwłaszcza gdyby Madryt poluzował Katalonii ekonomicznie, obniżając jej „janosikowe” i okazując więcej poszanowania katalońskim uczuciom narodowym.

Bałkańskie wojny stadionowe

Na Bałkanach łączenie piłki z polityką to już tradycja. Mecz rozegrany w maju 1990 r. w Zagrzebiu między tamtejszym Dinamem i belgradzką Crveną Zvezdą zasłynął jako symboliczny początek wojny w Jugosławii. Chorwaci chcieli niezależności, Serbowie zarzucali im faszystowską przeszłość, rozwinęli transparent „Zagrzeb jest serbski”. Bili się kibice obu drużyn, a chorwacki piłkarz Zvonimir Boban, po tym jak kopnął w głowę interwenującego jugosłowiańskiego policjanta, stał się z kolei u siebie symbolem walki o niepodległość. Ci sami kibice stali się wkrótce postrachem jugosłowiańskich wojen. Dziś mecz drużyn obu państw wyglądałby zapewne podobnie (Serbia i Chorwacja nie spotkały się dotychczas na boisku), mimo że oficjalne stosunki między państwami można uznać za poprawne. Serbia negocjuje z Brukselą swoją akcesję, a Chorwacja popiera jej starania. Tymczasem w Bośni i Hercegowinie, której drużyna wywalczyła awans do mistrzostw

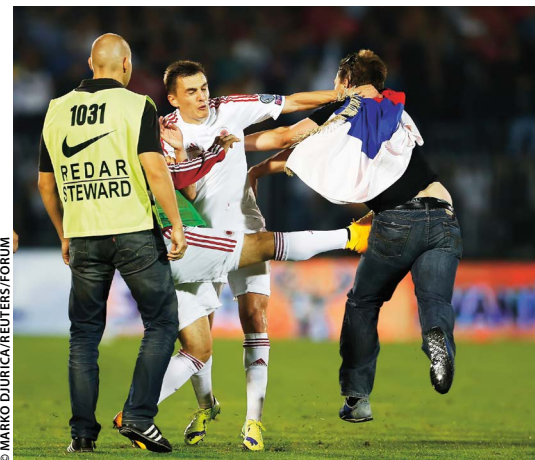
świata w Brazylii, z sukcesu cieszyła się jedynie połowa kraju: telewizja w Republice Serbskiej nie transmitowała meczów narodowej ekipy. A zamieszkujący BiH Chorwaci kibicowali drużynie narodowej Chorwacji. Na meczach reprezentacji biją się kibice, a politycy trzech państw bośniackiej federacji nie spotykają się w łóży VIP. Większość zawodników drużyny to Muzułmanie – Bośniacy (jak się nazywa przedstawiciele tej bośniackiej grupy etnicznej), dzieci wojennych emigrantów, choć grają w niej również Serbowie i Chorwaci, trenerem jest Bośniak, podobnie jak prezes piłkarskiego związku. **N**ie udało się też uniknąć eksplozji podczas niedawnego **meczu Serbów z Albanią** na stadionie w Belgradzie. Bezpośrednim powodem było pojawienie się nad stadionem flagi z symbolami i mapą Wielkiej Albanii, obejmującą nie tylko dzisiejszą Albanię i Kosowo, ale także południową część Serbii, Czarnogóry, Macedonii oraz

Kanapka nie na wynos

W wywiadzie dla „Observera” Bono gorąco bronił irlandzkiego systemu podatkowego, ale opinia wokalisty U2 na niewiele się zdała: rząd w Dublinie właśnie ogłosił, że rozmontowuje najbardziej niesławną część przepisów podatkowych. Tzw. podwójna irlandzka z holenderską kanapką była kruczym prawem, dzięki któremu międzynarodowe koncerny unikały dzielenia się zyskami z fiskusem. Wystarczyło założyć na Zielonej Wyspie spółkę, która księgowała przychody przedsiębiorstwa, ale za korzystanie z jego technologii i znaków towarowych płaciła (na papierze) spółce holenderskiej. To sztucznie zawyżało koszty i zarazem obniżało opodatkowany obrót. Na sam koniec Holendrzy przelewali pieniądze trzeciej spółce, zarejestrowanej w Irlandii, ale rozliczającej się z dochodów w jakimś raju podatkowym, gdzie stawka dla firm wynosi zero procent (lub niewiele więcej). Dwa lata temu, dzięki takim wybiegom, firma Apple od rekordowej kapitalizacji 623,14 mld dol. na nowojorskiej giełdzie zapłaciła jedynie... 1,9 proc. podatku. Takie same sztuczki stosowały też między innymi Google i Facebook.

Dublin kończy z tą praktyką. Od przyszłego roku z miejscowym fiskusem będą się musiały rozliczać wszystkie nowe spółki zarejestrowane w Irlandii, a te, które już działają, będą miały obowiązek dostosować się do nowych zasad do końca 2020 r. Koncerny mimo wszystko jakoś to przeżyją: podatek dochodowy od osób prawnych na Zielonej Wyspie wynosi zaledwie 12,5 proc. i jest jednym z najniższych w Europie.

Grecji. Albania nie uczestniczyła wprawdzie w ostatniej wojnie o Kosowo, ale mit nacjonalistycznej Wielkiej Albanii rozpala namiętności Serbów. W reprezentacji futbolowej Albanii grają licznie Albańczycy urodzeni w Kosowie, co rodzi napięcia między Belgradem i Tiraną, awantura była więc nieunikniona.



© MARKO DJURICA/REUTERS/FORUM



Muzeum z torebek

Paryżowi przybył nowy obiekt o charakterze symbolu. I to nie byle jaki: ufundowany przez firmę najbogatszego Francuza, Bernarda Arnault, prezesa koncernu LVMH, tego od produktów luksusowych, ba, według „Forbesa” najbogatszego Europejczyka, z majątkiem ocenianym na blisko 30 mld dol. Chciał zostawić trwały ślad w paryskim pejzażu – i niewątpliwie zostawi. **Muzeum Fundacji Louis Vuitton** zaprojektował sam Frank Gehry, ten od Muzeum Guggenheima w Bilbao, 84-letni dziś, najwybitniejszy przedstawiciel starchitektury, jak się ironicznie określa superefektną gwiazdorską jej odmianę. Lokalizacja też niczego sobie: sam środek Łasku Bulońskiego, co przez lata budziło protesty i zastrzeżenia prawne – aż trzeba było specjalnej decyzji parlamentu. Miasto dało działkę i za pół wieku przejmie na własność budynek, ale nie zbiory współczesne w nim zawarte. Co powstało z tego niespotykanego połączenia tyłu och i ach? Dzieło, które chce się podobać (więc pewnie nie podzieli losu kontestowanej z początku wieży Eiffla, Centrum Pompidou czy piramid Luwru). Wielkie, przestrzenne – szklana chmura złożona z 12 szklanych brył i 3,6 tys. szklanych paneli – nazwane też z miejsca przez paryżan Górą Lodową. Uroczystą inaugurację budynku trochę zepsuł fakt, że parę dni wcześniej, po pięciu latach prac, otwarto ponownie znacznie rozbudowane Muzeum Picassa, któremu łatwiej będzie teraz wyeksponować 5 tys. prac mistrza, które posiada. Kryzys? Jaki kryzys?

Drony nie dla Ukrainy

Izraelski szef dyplomacji Awigdor Lieberman godnie reprezentuje w Jerozolimie interesy... Władimira Putina. Zablokował niedawno militarne zakupy Ukraińców. Zjawili się w Izraelu z propozycją zakupu nowoczesnych dronów wywiadowczych i bojowych. Doszli do porozumienia z firmą Aeronautics, produkującą pięć typów sprzedawanych na świecie samolotów bezzałogowych, od najmniejszych, wyrzucanych w powietrze za pomocą katapulty i lądujących na spadochronie, aż do ciężkich dwusilnikowych maszyn przeznaczonych do patrolowania obszarów morskich. Transakcja dostała już nawet zielone światło od ministerstwa obrony, ale w ostatniej chwili na drodze stanęło ministerstwo spraw zagranicznych. Stosowna komisja Knesetu otrzymała ostatnio listę 8 tys. licencji wydanych przez MON na sprzedaż broni za granicę. Ukraina na tej liście nie figuruje i przypuszczalnie figurować nie będzie.



Hirohito i lustracja

W japońskich księgarniach pojawiła się oficjalna biografia cesarza **Hirohito**, który panował w latach 1926–89. Prace nad nią trwały ponad 23 lata, a ich efekt jest imponujący – 12 tys. stron, w 61 tomach, setki nowych dokumentów i niepublikowanych wcześniej wywiadów. I tylko jedna – za to potężna – biała plama: ani słowa o odpowiedzialności cesarza za wojnę. Po 1945 r., pod skrzydłami amerykańskiej okupacji, w Japonii powstał obraz Hirohito jako zwolennika pokoju, który w zasadzie nie miał wpływu na politykę zagraniczną kraju w latach 30. i 40. Taki wizerunek cesarza, à la brytyjska królo-



wa, był potrzebny zarówno potrzebującym spokoju w Japonii Amerykanom, jak i japońskim monarchistom, którzy obawiali się, że klęska wojenna pozbawi Hirohito tronu. Obraz ten próbują dziś odkłamywać zachodni badacze, według których to cesarz podjął decyzję o agresji na Chiny w 1937 r., ale też o ataku na Pearl Harbor i o późniejszym przeciąganiu konfliktu z USA. I to mimo nieuchronności porażki w wojnie, w której na Pacyfiku zginęło ponad 20 mln ludzi, w tym 3 mln Japończyków.

Za życia cesarzowi oszczędzono niewygodnych pytań, a on mógł bez przeszkód celebrować swój pokojowy wizerunek. Inaczej niż w przypadku Niemiec, również japoński rząd nigdy nie uznał wojennej odpowiedzialności swojego kraju. Rozliczenia Hirohito domagają się natomiast sąsiedzi – ofiary Japonii z czasów wojny. Jak pokazuje jego oficjalna biografia – przyjęta w Japonii z powszechnym uznaniem – potrzeby lustrowania zmarłego cesarza nie mają jednak sami Japończycy.

Szpieczy tacy jak my



Juliusz Ćwieluch

Zatrzymany za szpiegostwo ppłk Zbigniew J. był wielkim agentem. Sądząc ze zdjęcia, co najmniej 100 kg wagi. Zatrudniony był w departamencie wychowania i promocji obronności MON, który zajmuje się tak ważnymi sprawami, że od ponad roku planowane było jego rozwiązanie i połączenie z departamentem prasowo-informacyjnym, ale jakoś wszystkim to umknęło. Sam arcyszpieg specjalizował się m.in. w konkursach recytatorskich i organizacji imprez patriotycznych oraz koncertów. Trudno się dziwić, że wreszcie zaczął śpiewać. Jeśli ktoś miałby jeszcze wątpliwości, że to był demon wywiadu, należy dodać, że tylko w tym roku miał dostęp do aż siedmiu notatek opatrzonych klauzulą tajne. Jego błyskotliwa kariera wojskowa (w 30 lat doszedł do ppłk.) siłą rzeczy zmierzała ku końcowi, bo swoje w mundurze już przepracował. Dostał nawet z tej okazji Medal za Długoletnią Służbę, co było elementem gry operacyjnej. Służby zdecydowały się go zdjąć, czyli aresztować, równocześnie z cywilnym pracownikiem również podejrzanym o szpiegostwo.

Biegli w temacie specjaliści zatrzymanie rozpatrują w kategoriach działań PR. Po pierwsze widać, że polskie służby nie śpią. Po drugie, czyszczą szeregi wojska. A po trzecie i najważniejsze, aresztowanie Zbigniewa J. daje pretekst do prawdziwego sprzątania podwórka, czyli przewietrzenia szeregów rezydentury rosyjskich służb zakamuflowanych na etatach w ambasadzie. Takie ruchy z kolei świadczą o tym, że Rosjanie poczynali sobie zbyt śmiało.

Pytanie, czy strona polska zdecyduje się na ten ruch, bo Rosjanie w ramach retorsji pożegnają stosowną liczbę naszych. Zbigniew J. dostanie jakiś symboliczny wyrok. A Rosjanie dalej będą buszować, jak chcą, bo Polacy wiele zrobili, by rozwalić własne służby, które teraz muszą się ratować takimi akcjami i wywalaniem rezydentów. Zamiast ostro ich pilnować i np. przewerbowywać ich agentów.

Jan Koza



© JAN KOZA



© BEATA KITOWSKA/AG

Mała armia z wielkim garbem

Rekordzista korzystający z wojskowego systemu emerytalnego dostaje 18 118 zł emerytury. Obecnie jest 4555 emerytów w wieku poniżej 42 lat. Najmłodszy z nich ma zaledwie 34 lata. Polska armia z trudem dobija do 100 tys. żołnierzy, za to liczona z emerytami jest prawdziwą potęgą: prawie 260 tys. osób. Tyle w każdym razie musi utrzymać, bo emerytury wojskowe wypłacane są z budżetu Ministerstwa Obrony Narodowej. Tylko w zeszłym roku na wojskowe świadczenia emerytalne z budżetu państwa wydano 6,312 mld zł. A na pensje 4,935 mld. Przy 28 mld zł, które wydane zostały w zeszłym roku na wojsko.

Problem stał się na tyle palący, że pojawił się nawet w exposé premier Ewy Kopacz, która zapowiedziała: „przeznaczmy od początku 2015 r. dodatkowo 39 mln zł dla żołnierzy, premiując dłuższy czas służby oficerów i podoficerów”. Marchewką ma być 1 proc. do emerytury więcej dla każdego oficera, który pozostanie w armii po przepracowaniu 30 lat. – *Ten mechanizm ma sens tylko i wyłącznie wtedy, kiedy armia będzie zatrzymywała za jego pomocą tylko oficerów wartościowych,*

a nie wszystkich jak leci – mówi Aleksandra Wiktorow, była prezes Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Takiej gwarancji jednak nie ma.

Tak samo nie ma raczej szansy na ograniczenie wojskowych przywilejów emerytalnych, które należą do najkorzystniejszych spośród wszystkich grup zawodowych. – *Cywil na emeryturze może dorabiać tylko do pewnego pułapu. Wojskowy, ile chce, musi tylko założyć firmę* – dodaje Aleksandra Wiktorow. Jej zdaniem dysproporcje pomiędzy systemem emerytur wojskowych i cywilów są nie-moralne: – *Wojskowi wywalczyli wysokie emerytury, używając argumentu, że mają relatywnie niskie pensje. A teraz walczą o wysokie pensje.*

Od stycznia zeszłego roku wojskowi przechodzą na emerytury według nowych zasad, ale zmiana przepisów dotyczy tylko nowo przyjmowanych. Nowe przepisy likwidują takie patologie jak przechodzenie na emeryturę 40-latków, teraz emerytura może być wypłacana dopiero po 25 latach służby i ukończeniu 55 roku życia.

(JULI)

Rozmowa z emerytowanym pilotem F-16 – s. 26.

Zakłócenia na łączach

Miniony tydzień był wyjątkowo pechowy dla łączności. Zakłócenia na łączach pojawiały się praktycznie na wszystkich poziomach władzy. Nawet w kwestii łapania szpiegów, co zawsze jest niezwykle podniecające, zabrakło czytelnego przekazu. Dla wielu komentatorów – polityków i dziennikarzy była to gratka: im mniej wiadomo, tym snucie hipotez jest swobodniejsze, a gdy prawie nic nie wiadomo, panuje pełna swoboda w formułowaniu najbardziej nieprawdopodobnych teorii. Gdyby wierzyć najlepiej poinformowanym, już dziś ambasada Rosji nie miałaby połowy personelu, który zostałby z Polski wyproszony i oczekiwali byśmy na rosyjskie retorsje. Według Marka Biernackiego, byłego ministra sprawiedliwości, polskie służby mają sukces, bo oddały dwa celne strzały do Rosjan. Wygląda, niestety, że były to strzały kulą w płot.

Uporządkujmy jednak kwestię zakłóceń. I to poczynając od samej góry, czyli od prezydenta. Otóż okazało się, że słynny już list rodzin do Bronisława Komorowskiego w sprawie budowy pomnika ofiar katastrofy smoleńskiej powstawał, przynajmniej częściowo, na komputerze w kancelarii głowy państwa. Nie najbardziej zręcznie wypadły też tłumaczenia, najpierw urzędników, a potem samego prezydenta, że minister Sławomir Rybicki stracił w katastrofie brata, a więc jest rzeczą normalną, że był wśród apelujących o pomnik i nawet coś w liście redagował. Zdecydowanie lepiej byłoby jednak, gdyby kancelaryjne komputery nie mieszały się w tej delikatnej sprawie z komputerami rodzin ofiar. Nawet jeśli cel jest szczytny, a przesłanie prezydenta wyraźne, niech każdy pisze swoje. Zwłaszcza że teorii zamachu nie da się połączyć z realiami lotniczej katastrofy. Na razie przed wyborami samorządowymi prezydent podrzucił Hannie Gronkiewicz-Waltz temat do dyskusji niewygodny. I nie najważniejszy.

Kłopot może mieć też nowy marszałek Sejmu Radosław Sikorski, do którego płyną postulaty, aby upamiętnić osobno w parlamencie prezydenta Lecha Kaczyńskiego, bo dotychczasowe tablice nie wystarczają. W ogóle pojawiło się sporo pomysłów, aby stawiać popiersia. Red. Katarzyna Kolda-Zaleska na przykład chciałaby udekorować nimi drogę od Krakowskiego Przedmieścia po Aleje Ujazdowskie – od Lecha Kaczyńskiego do Tadeusza Mazowieckiego. Jednak bez wskazania ewentualnego przyszłego miejsca dla Lecha Wałęsy (oby żył wiecznie). Otóż mam pomysł zdecydowanie inny. Jest tuż za gmachem Senatu piękny skwer im. marszałka Rydza-Śmigłego, licznie odwiedzany przez warszawiaków i turystów, gdzie stoi już popiersie Haliny Mikołajskiej,

jest ławeczka Jana Nowaka-Jeziorańskiego, upamiętniono tam również żołnierzy AK i wydaje się, że jest to dobre miejsce, aby stawały tam kolejne popiersia, choćby Tadeusza Mazowieckiego, Lecha Kaczyńskiego i wielu innych zasłużonych. Niezależnie od smoleńskiego pomnika, o którym dyskusja będzie długa, emocjonalna i mało efektywna. Lepiej zrobić coś niż nic.

Niestety w kwestii smoleńskiego pomnika, czy już raczej pomników, mamy kolejne zakłócenie na łączach. W zasadzie zakłócenia między Polską i Rosją są czymś tak normalnym, że nie powinny nikogo dziwić i należało oczekiwać, że Rosjanie będą kontestować projekt pomnika w Smoleńsku. Nie chcą, aby owa ściana z nazwiskami ofiar miała sto metrów długości, proponują 40. To też nie wydaje się mało i być może udałoby się jednak jakiś kompromis osiągnąć, być może nawet łatwiej niż w Warszawie. Pod warunkiem że strona polska jakoś ustosunkuje się do rosyjskich propozycji, które podobno zostały dawno przesłane i nie doczekały się żadnej polskiej odpowiedzi. Tak oznajmili Rosjanie, a Polacy nie dementowali. Milczymy z powodu urażonej narodowej dumy, czy też bałaganu w korespondencji? Warto jednak postawić sobie pytanie, czy chcemy tego pomnika w Smoleńsku czy też tylko wzajemnych oskarżeń?

Rządowe nieporozumienia na łączach dotyczyły ewentualnej przyszłej pozycji w rządzie Jacka Rostowskiego, który najpierw (wszystko według informacji pochodzących z „otoczenia pani premier”) miał być po prostu szefem doradców pani premier, potem szefem doradców w ogóle, ale już w randze ministra konstytucyjnego, i wreszcie wrócił w poselskie ławy, opuszczając już przygotowany gabinet w Alejach Ujazdowskich. Wrócił, bo po proteście ludowców nie został konstytucyjnym ministrem. PSL miał mocne argumenty: nie może szef doradców być nadzorcą trzech ministrów konstytucyjnych – finansów, pracy i polityki społecznej oraz gospodarki, a taka byłaby w istocie konstrukcja owego doradczego gremium, także biorąc pod uwagę polityczny temperament Rostowskiego i jego przeszłą funkcję wicepremiera. To konstytucyjni ponoszą odpowiedzialność, a nie minister bez teki. Oczywiście ludowcy mieli też własne partyjne argumenty: nie lubią Rostowskiego, bo nie ulżył im jako minister finansów w spłacaniu partyjnych długów, powstałych po nieprzyjęciu przed laty spr-



wozdanie finansowego przez PKW, trwał przy janosikowym, dotkliwie uderzającym w Mazowsze i Warszawę, co i tak zakwestionował Trybunał Konstytucyjny itp. W sumie mieli rację. Premier Kopacz zachowała się więc racjonalnie, przyjmując ich argumenty, i szkoda, że Jacek Rostowski nie poprzestał na przykład na stanowisku sekretarza stanu i szefa doradców, ale zdecydował się odejść. Otoczenie doradcze Ewy Kopacz dopiero się kształtuje, już widać w nim braki i jeśli odejdzie Jan Krzysztof Bielecki, będą one jeszcze bardziej dotkliwe.

Hitem jednak, jeśli idzie o zakłócenia na łączach, stała się konferencja prasowa Jarosława Kaczyńskiego, na której zapowiedział, że PiS opowie się za powołaniem komisji śledczej w sprawie honorowego konsula Rosji, który jako prezes spółki Unizeta Technologies SA „trzyma w garści najważniejsze systemy informatyczne polskiego państwa”, o czym doniosły przyjazne prezesowi media. Taka komisja jest zdaniem Kaczyńskiego niezbędna, zawiodły bowiem mechanizmy (państwa Tuska i Kopacz), co może prowadzić do głębokiej ingerencji obcego państwa w nasze sprawy, w tym w system wyborczy (to słynne już „odkryte” przez PiS serwery PKW w Moskwie). Teorie prezesa twórczo rozwinął złotousty poseł Mariusz Błaszczak, który złapanie dwóch szpiegów uznał za próbę przykrycia strasznego skandalu związanego z rosyjskim konsulem honorowym.

Okazuje się jednak, że pośpiech bywa marnym doradcą, a spin doktorzy PiS się nie spisali. Szef Kancelarii Premiera Jacek Cichocki nie miał bowiem żadnych trudności, aby natychmiast opublikować, jak to z konsulem było. A było tak, że świadectwo bezpieczeństwa przemysłowego, o które wystąpił w 2005 r., w osiem dni po objęciu rządu przez PiS, dostał w 2006 r., także w tym samym roku dostał od ABW dostęp do informacji niejawnych, a konsulem honorowym został w roku następnym za zgodą minister Anny Fotygi. Po zmianie władzy i przeprowadzeniu procedury sprawdzającej w 2009 r. wydane za rządów PiS certyfikaty zostały mu cofnięte, bezskutecznie się odwoływał i od 2009 r. jego firma i on sam nie mają żadnych uprawnień do realizowania jakichkolwiek kontraktów związanych z dostępem do informacji niejawnych. I kto tu wystawił Jarosława Kaczyńskiego? Jego sztabowcy? Czy to w ramach walki, jaka ponoć toczy się w PiS o sukcesję, czy z powodu bałaganu i zbytniego pośpiechu, aby dołożyć państwu Tuska i Kopacz? Najwyraźniej łączna nie wytrzymała.

Ważnie w rodzinie

Zacząło się nowym reformatorskim otwarciem, skończyło buntem i pyrrusowym zwycięstwem konserwatystów. Ale dzięki **synodowi biskupów** świat zobaczył, że w Kościele trwa spór o małżeństwa i homoseksualizm, a układ sił jest płynny.

ADAM SZOSTKIEWICZ

Synod biskupów na temat rodziny pozwolił się policzyć kościelnym konserwatystom. Cieszą się z tego, szczególnie przedstawiciele tego nurtu w Polsce i Afryce.

Ale ta radość nie może zasłonić faktu, że zwolennicy status quo przevorsowali swoje stanowisko dzięki procedurze, wymagającej aż dwóch trzecich głosów aprobaty. W obu zapalnych kwestiach



większość biskupów była za przyjęciem wersji „liberalnej”, ale zabrakło im większości kwalifikowanej. Słowem, zwycięstwo przeciwników nowego otwarcia jest nieoczywiste. Oczywisty stał się za to głęboki podział wśród biskupów.

Zwołany przez papieża Franciszka synod niemal od początku nie podobał się Kościołowi w Polsce. W przekazie kościelnym na ten temat dominował u nas ton zaniepokojenia, tak jakby Kościół w Polsce obawiał się otwartej i szczerzej debaty, do której zachęcał Franciszek. Poszło o tematy uznane u nas za kapitulację przed „ofensywą sił laickich”: stosunek Kościoła do katolików żyjących w powtórnych małżeństwach i do związków homoseksualnych.

Franciszek – pierwszy w historii papież, który użył słowa „geje” w pozytywnym kontekście – już na początku swego pontyfikatu zapowiedział zwołanie synodu (zebrania biskupów) w sprawie pomocy rodzinie „wystawionej na wyzwania współczesności”. Miał to być synod duszpasterski. Ale gdy pojawił się temat homoseksualny, konserwatyści zrobili wszystko, by kwestię duszpasterską przekształcić w ideologiczną.

Kościół polski reprezentował na synodzie abp Stanisław Gądecki, szef episkopatu, który zasłynął ostatnio podważaniem zasady świeckości naszego państwa. Abp Gądecki oświadczył Radiu Watykańskiemu, że w raporcie roboczym na półmetku obrad dopatruje się odcho-

dzenia od nauk św. Jana Pawła II i „śladów antymażeńskiej ideologii”. W ojczyźnie papieża Wojtyły katolicy musieli te słowa odebrać jako sygnał, że sprawy idą w złym kierunku.

Tymczasem z doniesień w mediach – a synod rzeczywiście budził globalne zainteresowanie – nie wynika, by ktokolwiek z uczestników atakował rodzinę czy małżeństwo rozumiane tradycyjnie, po katolicku. O związkach homoseksualnych się mówiło, owszem, i co w tym złego? Jaki to powód do zgorszenia? W końcu homoseksualizm zdarza się w samym Kościele, niektórzy homofobiczni duchowni mówią wręcz o gejowskim lobby – od Watykanu po seminaria duchowne. Trochę podobnie z rozwiedzionymi: są częścią Kościoła, jeśli z niego już nie wystąpili, tak samo jak inni katolicy po życiowych przejściach rodzinnych i z rodzinnymi kłopotami: np. młodzi, którym rozsypały się pierwsze małżeństwa, i ci, którzy nie żyją „po bożemu”, ale są wierzący. Dobre duszpasterstwo nie powinno ignorować wiernych z życiowymi powikłaniami, tej całej szarej strefy, jej różnych wariantów i odcieni. Takie nadzieje budził synod. Jednak ostatecznie lwia część energii przeznaczył na zwalczanie „herezji” homoseksualnej, tak jakby to ona była w Kościele najważniejsza.

Konserwatywni krytycy otwartej debaty (m.in. szef Kongregacji Nauki Wiary kard. Gerhard Müller i prefekt Trybunału Sygnatury Apostolskiej kard. Raymond Burke) posunęli się do sugestii, że sekretariat synodu (nie było w nim Polaków) kontroluje przepływ informacji na temat obrad i faworyzuje pewne treści. Słowem – manipuluje. Tak można streścić reakcję kościelnego lobby konserwatywnego. Sugestia, że część biskupów manipuluje synodem pod batutę „liberałów”, i to w obecności samego papieża Franciszka, zabrzmiała jak zniewaga. A przecież Franciszek w związku z synodem ułożył nawet modlitwę, prosząc wiernych o jej odmawianie w intencji owocnych obrad. Czytamy w niej: „Święta Rodzino z Nazaretu, niech nigdy więcej w naszych rodzinach nikt nie doświadcza przemocy, zamknięcia i podziałów”. Słusznie, bo te złe rzeczy dzieją się także w rodzinach katolickich.

Oprócz kościelnych krytyków są też biskupi, do których dociera, że na synodzie działa się coś dobrego i że jego owoce nie są zatrute, że staje się on forum Kościoła żywego, a nie kolejnym kościelnym *eventem*, ceremonialną akademią pełną pobożnych życzeń i frazesów, o której zapomina się zaraz po zakończeniu. (Kto pamięta o rodzinnym synodzie zwołanym przez Jana Pawła II w 1980 r.?). ►



© AP/EAST NEWS